

|

TAXI,
TAXI!

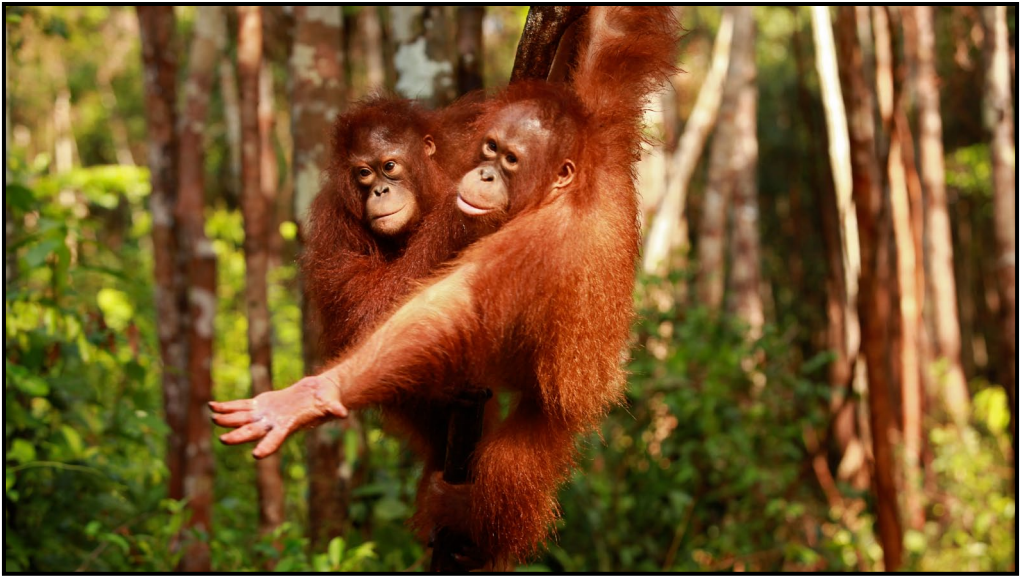
s. 74

Komendarek
s. 17

Alterpop

1.25 zł (w tym 23% VAT)

styczeń-luty 2012



Każda rodzina jest święta z natury

SPIS

.....

tręści



Słowo

Dźwięk

..... jest
:
..... był
:
:

.. będzie

Obraz

..... jest
:
..... był
:
:

..... jest
:
..... był
:
.. będzie

Redaktor naczelny:
Tadeusz Bisewski

Redakcja:
Dawid Brykalski
Karolina Joisan
Ewelina Leszczyńska
Joannus

Korekta:
Wydawnictwo Ekwita
www.ekwita.pl
Korekta składu:
Alicja Bisewska

Wydawca:
Słońce-Księżyc
Alicja Bisewska
ul. Gnieźnieńska 8/1
84-230 Rumia

PREMIERY

plytowe

Hard-fi

Killer Sounds



Tym razem dałem się złapać na okładkę. Te cztery czaszki jakoś się do mnie sympatycznie szczyrzyły. Potem szczyrzyłem się i ja. Bardzo dobrze wybrałem płytę. Wreszcie jakiś angielski zespół, który nie cierpi na wieczne depresje, melancholie i histerie.

Zabić dźwiękami to może Hard-Fi nie zabija, ale wigoru i pomysłowości odmówić im nie można. 11 zwartych piosenek zrobionych jest tak, że same wchodzi w uszy i do głowy. Co gorsza zostają tam na dłużej. Potencjalne przeboje to *Good For Nothing* – trochę pod Gorillaz, ale z ciekawym etnicznym rytmem, przy *Fire In The House* mam problemy z usiedzeniem w miejscu,

a za *Give It Up* to się koleżkom z Hard-Fi jakieś Grammy czy co tam należy. I za całą płytę też. Na przykład w kategorii inteligentny, ale niedołujący skoczny rock brytyjski.

Hard-Fi to zespół nowoczesny. Jak się więc włoży płytę do czytnika, a internet hula, to przekieruje nas na jakąś oficjalną podstronę. A tam dwa dodatkowe kawałki do ściągnięcia. Też miło.

Superheavy

SuperHeavy



Płyta roku. Po prostu. Jagger i jakże wyśmienita ekipa nagrała materiał, który smakuje zawsze i wszędzie.

Impreza? Nawet się nie wahaj, towarzystwo będzie tańczyć do świtu. Jedziesz daleko i się nudzisz? Uważaj,

SuperHeavy może sprawić, że przejedziesz swoją stacją. Siedzisz sam w domu i nie masz co robić? Ta ekipa sprawi, że niespotykana energia wstąpi w twoje ciało i umysł. Przy okazji posłuchaj, jak to jest zrobione, jest się w co wsłuchać. Doskonałe melodie, reagowe rytmy, przebojowe refreny, wysmakowane aranże, zdystansowany do siebie Mick, sami faceci i ona jedna – wdzięczna, bosa, roztańczona – Joss Stone. Łatwo się od tej płyty uzależnić.

Na deser clip *Miracle Worker*, w którym nie dzieje się nic, czyli wszystko. A Jagger udaje starego diabła, który naprawi to, co w życiu nie gra.

Różni wykonawcy

Męskie granie 2011

★★★★★★



Wydaje Wam się, że Polskie Radio to skostniała instytucja, która nadaje już tylko dla przedwczesnych emerytów generowanych przez ekipę Tuska? Macie rację, tak Wam się tylko wydaje. Box (3 CD i 1 DVD) *Męskie Granie 2011* to czad ponad inne czady. A za tę płytę odpowiada właśnie Polskie Radio.

Nie jest to może męskość ociekająca testosteronem, raczej męskość jako

charakter. I taka jest o wiele ciekawsza, bo dojralsza. Dyrektorem obwoźnego festiwalu był Wojciech Waglewski i również on nadał artystyczny ton całości. Płyty zamyka i otwiera Waglewski z Voo Voo lub Waglewski z Moździerem. Właśnie przekrój przez różne stylistyki to kolejna „siła” tej płyty. Od Pink Freud, przez Spiętego, Bajzel, Muchy, Lao Che po Janerkę, Titusa z Acid Drinkers czy takiego muzycznego zombie jak Mu-

Skala ocen:

★★★★★★

Space Ritual

★★★★★★

Stairway To Heaven

★★★★★★

To musi być miłość

★★★★★★

Dusza diabłu sprzedana

★★★★★★

Nadciąga noc komety

★★★★

I Can't Get No Satisfaction

★★★★

Welcome To The Jungle

★★★

Ta piosenka powstała dla pieniędzy

★★

Mam tak samo jak ty

★

Kim jest człowiek, jeśli nie człowiekiem tylko

niek. Ale w takim towarzystwie nawet Staszczuk coś z siebie dał i prezentuje się na płycie więcej niż przyzwicie. Może dlatego, że z jednym utworem – *Stary boy?* Młodzi obok starych wyjadaczy. Porywczy i gniewni obok stonowanych i zdystansowanych. Z dorobkiem i bez. Taka różnorodność oraz ilość (każda z płyt to ponad lub prawie godzina muzyki) sprawiają, że pewnie każdy tu znajdzie coś dla siebie. A z drugiej strony udało się sporządzić wybór taki, że trzech płyt słucha się jak jednego spójnego koncertu. Tu nie ma nawet minuty nudziarstwa. Moim faworytem pozostaje Janerka. Pojawia się dwa razy – raz „solo”, czyli z zespołem własnym, drugi w duetach (różne konfiguracje). Teksty, aranże, zaangażowanie i wykonanie „na żywca” u niego chyba zawsze jest na europejskim poziomie. Do tego to absurdalne poczucie humoru... np.

Mój sztylecik w twoim sercu:

*To różowe to ruchoma dupka
A to białe to odnóża trupka
Gang stokrotek opanował płotek
Głupek głupek gania wokół słupka*

*Mój sztylecik w twoim sercu
Mój sztylecik w twoim sercu
Tkwi*

Wydawnictwo uzupełnia krótki paradokument z trasy. Czyli wypowiedzi muzyków i osób zaangażowanych. Ponieważ mam nadzieję, że kolejne edycje się odbędą, proponuję, by do minimum ograniczyć wypowiedzi P. Stelmacha i A. Gacek. Reszta ma i może zostać.

Rewelacyjne wydawnictwo. Krajo-we, a nad podziw udane. Zastużona platyna!

Maciej Maleńczuk z zespołem Psychodancing

Wysocki Maleńczuka

★★★★



Ponoć na grobie Wysockiego młodzi Rosjanie roztrzaskują swoje gitary. Nie wiem, co będzie roztrzaskiwać młodzież na grobie Maleńczuka. Złośliwość mi podpowiada, że flaszki. A jeszcze większa złośliwość, że reklamy.

Chyba nie jestem odpowiednią osobą, by recenzować płytę kolegi Maleńczuka. Jestem do tego typu tak uprzedzony, że nawet gdyby wystąpił z Mickiem Jaggerem uznałbym, że to fałsz, błaga i obłuda. Stwierdzam więc, że płyta złożona z piosenek Wysockiego to najwyższej klasy, profesjonalna robota. Zapewne są to więcej niż poprawne interpretacje, przesycone „buntowniczym” i „gniewnym” charakterem M. Maleńczuka. A ja tego zwyczajnie nie umiem docenić.

Po prostu nie ufam ludziom, którzy lansują się na lumpa i łajdaczyśko, a ich gębę widzę i u ministra, i na reklamach, i na jakichś plotkach. Nie, nie, nie. Jeszcze raz – NIE!

Lenny Kravitz

Black and White America

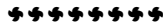


Nigdy nie trawiłem tego farbowanego lisa, a tu proszę, jaka udana płyta.

Wszystko pewnie za sprawą tego, iż Lenny postanowił, że będzie teraz trochę bardziej soul. I efekt okazał się satysfakcjonujący. Kravitz nagrał płytę, na której nie ma słabych numerów. Jednocześnie nie są to jakieś błahe muzaki – na taki luksus Lenny by sobie nie pozwolił. Jest na to zbyt przebiegły. Jest więc eteryczny soul, pomieszany z diabelskim rock'n'rollem. A wszystko czarne jak sam diabeł.

Władysław Komenda

Przestrzenie przeszłości



Udana składanka, jak to się ładnie mówi – przekrojowa. Syntetyczne spojrzenie na dokonania muzyka z Sochaczewa. Słuchając takiej muzyki ma się wrażenie, że kompozytor i wykonawca zarazem pochodzi jednak z innej planety.

Komendarek twierdzi, że to zbyt trudne, dokonać takiego wyboru. Nie dziwne, spośród tylu płyt wybrać to, co najważniejsze? Najlepsze? Najbardziej reprezentatywne? I jak ma to zrobić artysta o tak bezkompromisowych zapatrywaniach? W efekcie mamy tu z jednej strony muzyczne pomieszania z poplątaniem, lecz wszystko jest tak wygładzone i ujęte w taki sposób, że słuchacz z łatwością wpada w trans.

Edguy

Age of The Joker



Z najnowszej płyty Edguy całe New Wave Of British Heavy Metal z Iron Maiden na czele może być dumne. Kaskady mięsistych riffów, przesywające solówki, galopady basu i bębnow i przede wszystkim ekspresyjny śpiew lidera. Wyrabia się Tobiasz coraz

bardziej. Do tego nie stroni od zabawy słowem i konwencją, by w końcu, w jednym refrenie zaśpiewać: „what the fuck, suck my cock?!”. Oczywiście to pointa przerażająco-zabawnej historii. Na płycie jest też ballada oraz hymn, by sobie wszyscy na koncercie pośpiewali.

Okazuje się, że doświadczenie plus traktowanie stylu i gatunku z dystansem może przynieść coś odświeżającego. Halny to nie jest, ale i tak na płycie dzieje się tyle, że jak na heavy metal to bardzo dużo. Aha, Edguy jest szalenie popularny w Niemczech. Nie jest to jednak typowo grubiańsko-germańskie granie. Jest w Edguyu sporo finezji. Profeska.

Anthrax

Worship Music



Kiedyś królowie thrashu, to była naprawdę ważna ekipa. Ważna, ale i prześmiewcza (broń Boże kabaretowa). Powrócili na ubiegłorocznym Sonicsphere w formie i najlepszym składzie. Zaraz też wzięli się za nagrywanie premierowego materiału.

Niby wszystko fajnie, ale thrash to muzyka ubiegłej epoki. Panowie mogą wycinać stalowe rify, grać ultraszybkie solówki (Malmsteenowi i tak nie podskoczą), nawalać takie rytmy, że mało się perkusja nie rozleci, a wokalista może wykrzyknąć wszystkie frustracje świata. Nikt im tego nie zabroni. Problem w tym, że minęło wiele lat, a życie oraz ewolucja wymaga, by iść do przodu. Anthrax owszem idzie, ale małymi krokami.

Mam nadzieję, że nie skończą jako prozalne dziady błakające się po scenach, udając, że są groźni, źli i wszystkich zjedzą. Stare płyty naprawdę lubię. Za wigor i poczucie humoru.

DagaDana

Dlaczego nie



Domyślałem się, że są dobrzy. Słyszałem, że są naprawdę dobrzy. Miłe donosicielki doniosły, że występ jednej z członkiń DagaDany na ubiegłorocznej Nowej Tradycji był bardziej niż świetny. Lecz w obliczu tej płyty stwierdziłem, że i tak tych pochwał jest za mało.

Polsko-ukraińskie trio, laureaci tego i owego (najlepsze dopiero przed nimi)

zrealizowali płytę, której treść i forma zamyka się w słowach: wyważona, wysmakowana, autentyczna. Takiej muzyki słucha się z przyjemnością. Zadbano i o formę, i o treść, a przy okazji muzyka DagaDany ani trochę nie straciła na autentyczności. Wszystkie na siłę lansowane Jopkowe i Jopkopodobne produkty mogą się zwyczajnie schować, spalić ze wstydu albo sam już nie wiem co. Bo DagaDanie nie dorównują.

Wiem, że to nienormalne, ale odkąd posłuchałem tej płyty, zdarza mi się nucić „Wszystkie mają po chłopoku”. Czemu może się to wydawać zabawne, wyjaśni kolejny wers: „a ja nie mam tego roku...” I pomyśleć, że nuci to fan Manowar, Whitesnake czy Vaia. Tak, dobra muzyka nie zna granic. Serce, uszy i odtwarzacz zdobywa od razu.

The SixPounder

*Going To Hell?
Permission Granted!*

★★★★★



Że tak powiem, polska młodzież ryczy zagraniczne piosenki. Ale nie powiem, nawet udanie ryczy. Jeszcze nieokrzyknięta następcami Acid Drinkers wro-

clawska ekipa rażno sobie poczyną w temacie hard rock, hard drugs & hard sex.

Może gdyby nie informacja na płycie oraz wszechwiedzące Google dałbym się nabrać, że to zagraniczna ekipa. Tak dobrze nie ma – słabsze brzmienia, nedorobiony angielski, momentami zbyt wtórne pomysły. Ale i tak nie jest źle.

Oby tak dalej. Garb panom nie wyrośnie. Za bardzo miotają się po scenie.

Halestorm

Live in Philly

★★★★★★



No cóż... Pora przyznać się do błędu, a może raczej zaniedbania. Zlekceważyłem debiutancki album Halestormu. I nawet wiem czemu. Odepchnęła mnie okładka. Zbyt komiksowa, co samo w sobie nie jest niczym złym, lecz to był taki... dziecinny komiks.

Na pierwszej płycie rządził rock, który posłuchałem raz czy dwa i płyta wylądowała na półce pt. „zobaczymy, co będzie dalej”. A dalej nadszedł album złożony z CD i DVD. I kiedy sobie

to DVD włączyłem (koncert i klipy), to prawie wykrzyknąłem: „O kur..., ale zajebisty czad!”. Siedziałem tak z rozdziałową paszczą i chłonałem energię płynącą z głośników oraz TV. Proste, melodyjne rockowe piosenki. Skromne, ale błyskotliwe solówki. Zaangażowanie na maksa. Ekspresja wokalistki – rewelacyjna, głos także. Nie wiem, chyba nie ma elementu, którego nie wypadaloby pochwalić.

Rodzeństwo Arajey i Elizabeth zaczęło próby z nagrywaniem własnych kompozycji w wieku bardzo nastoletnim (mieli 10 i 13 lat), teraz są u szczytu formy i możliwości. To słyhać i widać. Bo gwiazdą rocka zostaje się mając lat 20.

Ome

Tomek Beksiński



W skład grupy rejestrującej tę nietypową płytę weszli członkowie duetu OMNI, wokalista grupy Mech Maciej Januszko oraz wielu gości. Jak nietrudno się domyślić, płyta to swoisty hołd dla niezjącego radiowca Tomka Beksińskiego. Jest on również obecny na

tej płycie – jako autor tekstu.

Muzyka bardzo zróżnicowana i raczej dla wyrobionego odbiorcy. Elektroniczne aranże mieszają się z rockową stylistyką. Do tego pojawia się również nuta progresywna... Teksty, czasem gorzkie, czasem zabawne, często absurdalne. Z pewnością osobiste. Ponieważ jestem tak stary, że pamiętam jeszcze audycje Beksińskiego, z łatwością odczytuję jego ironię czy katastroficzne przesłanie.

Po płytę zapewne sięgną starsi, dojrzałsi fani rocka. I bardzo dobrze – niech wspominają radiowca, który wychował całe pokolenie.

Que ensryche

Dedicated to Chaos



Już sam nie wiem, która to płyta w ich dyskografii. Od pewnego momentu wydają je równie regularnie, jak Tusk i jego ekipa wymyśla nowe podatki. Niestety, do *Operation Mindcrime* temu plackowi daleko.

Niby wszystko jest jak należy. Ostre riffy, intrygujące solówki, rozpoznawalny głos i tomocząca sekcja. Kompozy-

cje – inteligentne, teksty – nie mniej. A jednak przyjemność ze słuchania tej płyty jakaś specjalna nie płynie. W porównaniu z poprzednimi albumami najnowszy wypada dość mdło, blade i bez polotu.

Co mi się bardzo w Queensryche podoba to pewna konsekwencja. Na przykład – fascynacja Queen. Kilka elementów zespołu Mercurego jest na *Dedicated To Chaos* obecnych. Wzbogaca to nieco skostniałą metalową strukturę.

The Kenny Wayne Shepherd Band

How I Go

★★★★★



Blues nie umiera nigdy. Co prawda niewielu białym udaje się oddać ducha muzyki – było nie było – czarnych. Na wszelki wypadek Kenny zaczyna niczym ZZ Top. Potem jest coraz lepiej.

Jego blues to blues bardzo współczesny. Gitary hałaśliwe i jazgoczące. Brzmienie brudne, bliskie rocka. Gitara oczywiście na pierwszym planie, śpiew lidera – taki sobie. Stara się, lecz większych ekscytacji nie wywołuje. Ot,

głos w miarę głęboki, a czasem trochę chrypkę. Zaletą płyty jest brzmienie, takiej sekcji i tak nagranych gitar (Wayne błyszczy w dopracowanych solówkach) słucha się z przyjemnością. Tematy utworów jak blues i świat stare: relacje damsko-męskie, kłopoty sercowe, podróże, symboliczne powroty do domu oraz zmiany osobowościowe zachodzące w podmiocie lirycznym. Raz Kenny i jego band przyłoi aż miło, innym razem uderzy w sentymentalno-romantyczną nutę.

Dołożyłem gwiazdkę za cover *Pretty Woman* Gary'ego Moore'a. Bardzo kompetentnie Kenny oddaje w nim hołd Irlandczykowi oraz pięknym kobietom.

Leash Eye

V.I.D.I.

★★★★



Leash Eye wydaje płyty bardzo rzadko. Kapela istnieje od 1996, a *V.I.D.I.* to ich zaledwie drugi krążek. Polskie realia bywają zabójcze. Podejrzewam więc, że mimo iż ci faceci grają równo jak sprawna maszyna, to robią to bardziej dla siebie, dla radości grania.

Gdyby taka płyta ukazała się w USA, pewnie w tydzień pokryłaby się platyną

albo platynową platyną. Rzecz jest o samochodach, przemierzaniu niemierzalnych przestrzeni, ciężarówkach i paru innych tematach, miłych zapewne każdemu Amerykaninowi. To wszystko zostało ubrane w stylistkę zbliżoną do Black Label Society. Nie da się ukryć, super oryginalnie i odkrywczonie jest. Jednak stawiam, że na koncertach Leash Eye stawi się wierna i spragniona takiego grania publika. Bo taki hard rock to muzyka stworzona do grania na żywo.

Lunatic Soul

Impressions



Ponoć ta płyta to „odrzuty” z podstawowych sesji projektu Mariusza Dudy. Daj Panie Boże innym wykonawcom takie płyty, jak Lunatic Soul ma odrzuty. Podejrzewam Dudę, że jak mu się nudzi, to idzie do studia i coś tam dłubie. Dłubie i dłubie tak długo, aż mu coś wyjdzie. Po pewnym czasie uznaje, że jednak nie dość dobrze wyszło i pewnie zostaje w archiwach sporo ciekawego materiału. Na szczęście tym razem „odpady” z sesji wyszły na płytce.

Lunatic Soul to projekt, który w założeniu miał się składać z dwóch albumów. Oba opowiadały o... zbłąkanej duszy. Naturalnie więc muzyczne środki stylistyczne zostały wydelikowane. Na *Impressions* pojawiły się tylko utwory instrumentalne, które, jak tłumaczy sam Duda, są nie tyle „odrzutami”, co miały być uzupełnieniem do ewentualnych wznowień dwóch pierwszych płyt. I znów wiem, że się powtórzę, ale tej płyty należy słuchać w całości. Od dechy do dechy. To zbyt głęboka muzyka, by dzielić ją na jakieś single, części czy inne podrodziały. *Impressions* jest jak wyborna powieść, możemy do niej wracać po wielokroć, a i tak odkryjemy coś nowego.

Fani Dead Can Dance powinni być zachwyceni. Lecz nie tylko oni. Ta muzyka jest jak wykwinna uczta w najlepszym towarzystwie. Orgia dla zmysłów – w tym wypadku słuchu.

Hugh Laurie

Let Them Talk



Hugh Laurie to aktor kojarzony tak bardzo z pewnym popularnym serialem, że nawet ludzie stroniący od telewizji widzą w nim już tylko doktora Housa.

Laurie jednak od dawna muzykował. A to sam, a to w filmach, a to z grupą przyjaciół. Naturalną rzeczą stało się więc wydanie płyty.

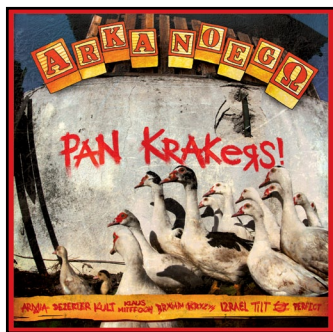
Muzycznie Laurie postawił na swój głos – nienajlepszy, ale charakterystyczny i z właściwą ekspresją, zespół rodem chyba z Nowego Orleanu oraz aranże zbliżone do Toma Waitsa, czy Bruce'a Springsteena z płyty *Seeger Session*. Płyty najlepiej słuchać w całości. Żwawsze melodie mieszają się z bardziej sentymentalnymi, ale wszystko przyprawione jest humorem – czy to w tekstach, czy w samych kompozycjach.

Jak dla mnie Laurie może z nagrywania płyt uczynić serial, czyli rytuał. Powiedzmy, żeby wypuszczał ze dwie na rok. A do tego przyjedzie z jakimś koncertem do Polski. W pierwszym rzędzie będnę szalał.

Arka Noego

Pan Krakęrs

★★★★★



Horda dzieci jakoś mnie pod żadnym względem nie kręci. Ale, że lubię covery, bo to zawsze ciekawość człowieka pcha – co oni tam z tym oryginałem nawyprawiali? – po *Pana Krakęrsa* sięgnąłem. I nie wiem, co mam o tej płycie myśleć, a czego nie myśleć.

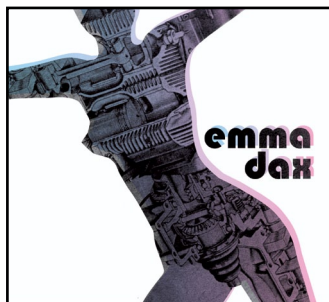
Kipiące energią dzieci to prawie punkowa ekipa. Taki w nich pazur, zadra i wrzask. Momentami zaskakująco dobra gitara, ale schowana w tle. Intrygujący saksofon w *Centrali*, piosenki Brygady Kryzys. Za repertuar robią stare polskie kawałki. Dzieci więc rażno skandują słowa Tiltu, Kultu, Dezertera, Izraela, Brygady Kryzys, Klausa Mitffocha, Oddziału Zamkniętego, Perfectu i L4 (kiedyś wielgachny przebój pt. *Super para*). Jest też jeden utwór własny, *Najlepszy na świecie* – o ojcu – i do niego klip video na płycie.

Z drugiej strony, frapujące są stare panczurskie kawałki w takich niecodziennych aranżacjach. No i porównując teksty, kiedyś pisało się piosenki o czymś, w jakiejś sprawie albo chociaż oryginalnie. Dziś... Wiadomo, cytuję: „I choćbyś upadł na kolana, I choćbyś błagał, To już nie działa na mnie, żegnaj, Twoja strata”.

Emma Dax

Emma Dax I

★★★★★



Trochę rap, trochę freestyle, trochę drum'n'bass, a trochę powrót do dyskotekowych brzmień z lat 80. Jak się okazuje, nadal tak można. Muzyka oparta jest więc na rytmie generowanym przez różne elektroniczne „szafy grające”,

a pośród tych beatów koleżka Duże Pe. I nawet momentami sobie nieźle poczyna. Oczywiście nie unika banału: „radośnie zapomnijmy choć na moment, jak blisko położone są początek i koniec” albo bzdury: „jeśli tak jest, póki czuję twą obecność. Nie chcę się budzić przez wieczność”. Jednak pojawia się od czasu do czasu naprawdę fajny tekst: „otwórz swą głowę i złap świeży powiew”, „kolejny raz ukradł mi cię dzień, dlatego gwałcę cię przez sen”. Może wyrwane z kontekstu nie wydaje się to tak dobre, ale w otoczeniu dziwnie oldskulowych dźwięków oraz z właściwą gatunkowi narracją przemawia.

Lekkostrawne i wcale nie głupie.

The Baseballs

Strings 'N' Strips



Przebiegli niemieccy producenci zrobili tak: wzięli trzech nieznanymi chłopaków, wystylizowali ich na lata 60. Nauczyli śpiewać oraz tańczyć. Upodobnili trochę do Elvisa, ale bez narzucającej się przesady. Kazali trochę tańczyć, ale też bez fajerwerków. Do tego niechże mają trochę dystansu do siebie.

The Baseballs wykonuje przede wszystkim covery. Stare szlagiery. Nowe szlagiery. Same szlagiery. Aranże rozpisane na kontrabas, trzy głosy i inne podstawowe instrumentarium, bez żadnych wydumisk. Panowie mają śpiewać tak, jakby cały czas się uśmiechali. Uśmiechali do dziewcząt licznie zapewne zgorzadzonych pod sceną w klubie.

Ta pozytywna atmosfera udziela się również mnie za każdym razem, kiedy sięgam po płyty The Baseballs (tę lub debiutancką *Strike!*). Pozytywny nastrój wzbudzają udane covery (*Paparazzi*, *Candy Shop*), melodyjne refreny oraz, za przeproszeniem, zaj*bista produkcja. Kontrabas, fortepian, te głosy, banalne pstrykanie palcami są tak nagrane, że mucha na kolumnach nie siada.

Proponuję, by polski przemysł muzyczny wzięł sobie The Baseballs jako przykład. Przykład pod tytułem „jak zrobić pop w taki sposób, by słuchacz nie czuł przy każdym utworze, że robią z niego debila”.

Dream Theater

A Dramatic Turn Of Events



Po odejściu Mike'a Portnoy'a wszyscy myśleli pewnie: ojej, co to będzie!?

Dream Theater się skończy albo już się skończy! To jednak zbyt profesjonalna ekipa, by sobie pozwolić na takie ekscesy. Bez kłopotu znaleźli nowego perkusistę, nagrali dobrą płytę i swoim zwyczajem ruszyli w trasę.

Ani na sekundę, mimo jak zwykle kompozycji długich i pogmatwanych, panowie nie spuszczaają z tonu. W porównaniu z poprzednimi płytami więcej na *Dramatic...* melodii, powietrza i progresji w stosunku do metalowych wycieczek. A te przecież zdarzyły się ekipie Dream Theater choćby na *Train Of Thought*. Tradycyjnie jest czego słuchać. W sensie ilościowym i jakościowym.

Opowiedzieć o muzyce Dream Theater w trzech akapitach nie sposób. Potrzeba minimum trzy miesiące, by jako tako zapoznać się z ich najnowszą, wyborną propozycją.

Wynton Marsalis & Eric Clapton

Play The Blues



Gdyby nie wyszło SuperHeavy, byłaby to moja płyta roku. Clapton i Marsalis, mimo że leciwi, wykrzesali z siebie dość ikry i dali koncert tak doskonały, że można gryźć ściany z żalu, że nie wystąpili gdzieś nad Wisłą.

Koncert zorganizowano na bogato. Skład to prawie orkiestra. Clapton, Marsalis oraz liczni goście, wśród nich Taj Mahal. Jeden dmie, drugi szarpie struny, grają leciwy repertuar. Dęciaki dodają uroku lub mocy każdemu z kawałków. Normalnie jakby czas się cofnął i koncert odbył gdzieś w USA, w latach powiedzmy 30. A jakimi solówkami panowie to wszystko przystrajają! Ech, płyta nie chce wyjść z odtwarzacza... Clapton sięgnął nawet po *Layę*. Ograny do szczętu kawałek zyskał po raz kolejny. Patti Boyd pewnie Eric już nie kocha, ale jak słuchała, to się miała prawo wzruszyć.

To musiał być niezwykle wieczór. Dobrze, że choć płyta jest.

Steven Wilson

Grace For Drowning



Jak nie nagrywa z macierzystą grupą, to nagrywa coś solo. Jak nie nagrywa czegoś solowego, to coś miksuje, wznowia albo produkuje innych (nawet King Crimson, a to najlepsza rekomendacja). Jak nie pracuje w studiu – wyrusza w trasę koncertową. Czy przy takiej

ilości pracy nie nastąpi w końcu spadek jakości? Nie można 12 miesięcy w roku być twórczym i kreatywnym na najwyższym poziomie...

Jednak w przypadku tej płyty nie ma mowy o jakimkolwiek odpuszczaniu sobie. Słuchając tych dwóch CD mam wrażenie, że Steven przygotowywał je od lat. Wszystko jest doskonale przemyślane. Kompozycje, aranże, długość utworów, dramaturgia, brzmienie zostało podporządkowane temu, by zaangażować słuchacza w historię, którą muzyk opowiada. Z płyty przede wszystkim przemawia sentyment, smutek, nostalgia i zaduma. Nie od dziś Wilson ulega takim nastrojom, to chyba jego rys osobowości – melancholia. Znakomicie potrafi ubrać ją w muzykę.

Płytę należy włączyć i się zasłuchać. Jeśli kompozytor ma na celu wprowadzić nas w stan swojego ducha, to Wilsonowi powinno się to udać. Wciągnie Was w tę opowieść i uwiedzie.

reklama



Grouplove

Never Trust A Happy Song



Miłość grupowa? Czemu nie... Kiedyś byłem na hipnotycznym seansie i okazało się, że moim skrytym marzeniem jest uczestnictwo w rzymskiej orgii. Co za bezceństwo! Zupełnie niechrześcijańskie. Porzućmy to i oddajmy się orgii dźwięków, nie zapominając, by nigdy nie ufać radosnym piosenkom.

Początkowo sądziłem, że to Angole, Brytole czy inni podwładni Królowej (God Save!), ale nie – to Amerykanie. A płyta to ich debiut. Oby więcej tak dojrzałych debiutów. W tych Stanach to tylu zdolnych ludzi... Grouplove to rock, ale bardziej brytyjski niż amerykański, czy jakiś hard. Na swój własny użytek nazwałem ich muzykę histerią o pozytywnym przekazie. Bardzo to wszystko jest wykrzyzcane, rozhałasowane i entuzjastyczne. W tym kontekście tytuł płyty jest dość przewrotny. Kilka piosenek typuję jako ewentualne przeboje, a jak się okazuje, niektóre kawałki Grouplove okazały się tak chwytliwe, że sprzedały się do spotów reklamowych.

Opracował: *Dawid Brykalski*

WŁADYSŁAW KOMENDAREK

ROZMOWA

Zbyt często nazywany polskim Rickiem Wackemanem (Yes), Tonym Banksem (Genesis) lub Keithem Emersonem (E.L.P.), bądź zupełnie niepotrzebnie porównywany do innych muzyków spod znaku tzw. el muzyki. **Władysław Komendarek** urodził się i mieszka w Sochaczewie. Przebywa jednak zapewne więcej w trasie niż w mieście rodzinnym. Jako instrumentalista i kompozytor wypracował własny styl, który wymyka się jednoznacznej klasyfikacji. W muzyce Komendarka można odnaleźć echa muzyki rockowej, a nawet hardrockowej, klasycznej, jazzowej, etnicznej oraz eksperymentalnej.

Zaczął karierę w latach siedemdziesiątych z **Grupą Dominika**, następnie występował i nagrywał z **Exodusem**, by od połowy lat osiemdziesiątych z sukcesem rozpocząć karierę solową. A ta trwa nieprzerwanie do dziś.

Dawid Brykański: *Lubi pan literaturę science-fiction? Pytam, bo mam wrażenie, może mylnie, że odnajduję jakies jej echa w pańskiej muzyce...*

Władysław Komendarek: Ogólnie nie przepadam za literaturą science-fiction. Czasami zdarzają się jakieś bajki układane do moich dźwięków. Piszę je sam i jest to zazwyczaj fikcja. Najbardziej mnie interesują fakty, które są związane z wydarzeniami w przestrzeni kosmicznej. To wszystko jest bardzo ciekawe...

*Nie ulegam
żadnej manipulacji*

Jakie wydarzenia ma pan na myśli?

Mam na myśli eksperymenty armii USA na wodach oceanu oraz wypadki pojazdów kosmicznych z innych planet.

Wykształcenie muzyczne pomaga czy przeszkadza w twórczości, komponowaniu?



Jedno jest pewne, wykształcenie pomaga tylko w manualnym, żywym graniu na scenie. Wtedy to jest duży plus. Będąc w Chorwacji i Rumunii, gdzie grałem z artystami z różnych stron świata, to jeśli ktoś nie potrafił manualnie grać na żywo, tylko wspierał się laptopem, to odpadał. Ci, co grali na żywo, bardzo szybko szli do przodu. I to jest sprawiedliwe, że tworząc muzykę na żywo i grając z artystami, których pierwszy raz się widzi, można uzyskać taki efekt. Jam session wyszedł całkiem udany i dało też radę nagrać niezły materiał, pamiętając przy tym o skuteczności różnych artystów.

Ujemna strona wykształcenia jest taka, że artysta nasiąka manierami przekazywanymi przez wykładowców. Tak nie można! To nie do pomyślenia, żebyś tak to zagrał! To nieprawidłowo,

tamto nieharmonicznie, zagrane źle, czyli nie do przyjęcia... I tak dalej. Na przykład, kiedy polska orkiestra ma zagrać bluesa ze sławnym skrzypkiem, to ma problem, bo nie wie, jak do tego podejść.

Trudno się grało, a raczej improwizowało z osobami, których pan kompletnie nie znał, występując z nimi na jednej scenie?

Powiem krótko. Wyciągnąłem z tych koncertów wnioski, że owszem, dużą sztuką jest zrobić w zaciszu domowym na laptopie ciekawy materiał, ale jeszcze większą sztuką jest zagrać na żywo z artystami, których się wcale nie znało wcześniej, i jeszcze przy tym pokazać swoje możliwości i zdolności manualne. Wszystko polegało na tym, że jeśli artyści się dobrze dobiorą, to potrafią, bez przygotowania, stworzyć naprawdę

wartościowy materiał. Wszystko było rejestrowane na systemie mac, więc mam nadzieję, że zostanie wydane.

Czym dla pana jest muzyka? Czy kieruje się pan wobec niej jakąś własną, wewnętrzną, osobistą filozofią?

Jeśli chodzi o tworzenie mojej muzyki, to głównie są to moje własne bunty na rzeczywistość, tę, która mnie otacza. Człowiek jako gatunek, jako istota rozumna jest bardzo podatny na manipulację i to w każdej dziedzinie. Jeśli człowiek nie byłby podatny na manipulację, nie akceptował jej, to ludzkość o wiele szybciej by się rozwijała technicznie. Rozwój naszej cywilizacji osiągnąłby w krótszym czasie szczyty w każdej dziedzinie.

Nie sądzi pan, że w tej chwili mamy nie rozwój, ale prawdziwą rewolucję cyfrową?

Tak i bardzo dobrze, ale nie można dopuścić do tego, by Windows był monopolistą. To tylko zwalnia rozwój technologii.

Co pan sądzi o współczesnej muzyce? Jest wiele dobrego? Stacza się? Jaka będzie przyszłość muzyki „rozrywkowej”?

Dużą krzywdę” muzyce robią globalistyczne media, które nie pokazują całej gamy twórców. Promowani są tylko wybrani i dzięki takiej polityce inni artyści się załamują i nie rozwijają się. Podziemie nawet w naszym kraju jest kilka razy silniejsze od medialnych wybrańców, typu Budka Suflera czy Doda, której nie trawię. Ja

wymiotuję, kiedy grają specjaliści od tworzenia hymnów.

Na jakiej muzyce się pan wychował? Czy wciąż pan do niej wraca? Co pana ukształtowało jako muzyka na różnych etapach życia i twórczości?

Kiedy powstał zespół The Beatles, to wywarł na mnie takie wrażenie, że właśnie wtedy na poważnie zainteresowałem się muzyką. Podszedłem do tematu poważnie, ale w tamtych latach miałem wiele różnych zainteresowań. Dziś myślę, że na moją muzykę wywarły duży wpływ zespoły z tamtego okresu. Rolling Stones, Pink Floyd, wczesny Genesis... Interesowałem się też różnymi odmianami jazzu.

A jeśli chodzi o powroty, to lubię mieszać w swoich utworach dawną muzę, czyli podejście do komponowania z bardzo współczesnymi brzmieniami, np.: drum bass lub trans. Niektórzy mi mówią: jak tak można?! A moim zdaniem, jak się chce, to można. Tylko trzeba być w tym zdecydowanym

Dużą krzywdę muzyce robią globalistyczne media, które nie pokazują całej gamy twórców. Podziemie nawet w naszym kraju jest kilka razy silniejsze od medialnych wybrańców.

i odważnym. Nie sugerować się tym, co kto mówi czy myśli. Po prostu ja jestem tak skonstruowany, że nie ulegam żadnej manipulacji. Co mam robić... Jak mam robić... I dla kogo mam tworzyć... Tworzę to, w danej chwili,

na co mam ochotę. Bo jestem wolnym w tym, co robię.

W jednym z wywiadów znalazłem taką pańską wypowiedź: (...) bo ja mam korzenie metalowe. Zechciałby pan tę myśl rozwinąć?

Lubię bardzo muzykę metalową i ciężkie granie. Ale czasami wracam do łżejszej, miesząc frazami w jakiś utworze. Robię to po to, żeby wytworzyć odpowiedni klimat emocji i dramaturgii koncertu.

Może poprawię to, co powiedziałem, w jakimś innym wywiadzie... Może mam nie tyle korzenie metalowe, co progresywne... Bo przecież w takiej grupie kiedyś grałem.

Jednak na swoich koncertach gram czasem jeszcze ostrzej.

Zgodziłby się pan, by któraś z pańskich kompozycji została wykorzystana w reklamie np.: margaryny albo proszku do prania? Może puszczana non stop



Władysław Komendarek
Przestrzenie przeszłości

w hotelowej windzie... Oczywiście raczej te łagodniejsze kawałki... A może już coś takiego miało miejsce?

Jeśli już poruszamy ten temat, to czasami kiedyś tam były wykorzystywane moje pierwsze kawałki. Ale to wszystko było za moją zgodą lub nie.

Nie znoszę, jak wszystko jest robione bez mojej zgody i uważam, że nawet o samplowanie próbek z mojego materiału powinni się mnie pytać producenci. Twórca musi o tym wiedzieć!

Producent od hip hopu, liczący się na rynku kanadyjskim, pyta się o taką zgodę, żeby coś zsamplować mojego i to jest kultura, jakiej oczekuję. Cokolwiek się robi z danym utworem, to najpierw trzeba się spytać, a potem negocjować dalej.

Wydana przez MMP składanka Przestrzenie przeszłości to przekrój przez pańską twórczość. Mimo że to blisko trzy godziny muzyki, to z pewnością musiał pan sporo odrzucić. Ciekawi mnie, jakie utwory odpadły...

Jeśli chodzi o *Przestrzenie przeszłości* to miałem trudne zadanie... Mimo to dokonałem wyboru na ten podwójny krążek. Ale nie ukrywam, że były problemy. Do ostatniej chwili przed zdaniem materiału nie wiedziałem, co wybiorę...

Czy może pan sobie wyobrazić siebie, wykonującego inny „zawód” niż zawód muzyka?

Nie wyobrażam sobie innego zawodu.

Rozmawiał: Dawid Brykalski
Zdjęcie: Paweł Stelmach

POSTMODERNIZM

nie umiera nigdy

Najnowsza płyta Coldplay to zestaw oburzająco dobrych piosenek. Począwszy od **Hurts Like Heaven**, a na **Up With The Birds** skończywszy. Zawsze byli epigonami U2 i to słycać również na **Mylo...** Jest jednak ta muzyczna mimikra tak przemyślna, że aż przestała mnie razić.

Program płyty to niespełna 50 minut, upchnięto aż 14 utworów. Trzy z nich to jedynie krótkie instrumentalne impresje. **Brian Eno** nie występuje już jako producent, lecz w roli współkompozytora. To za jego sprawą w tej muzyce tyle przestrzeni, powietrza i oddechu. I mimo że dźwięków jest tak wiele, jest w tej muzyce odprężający luz.

Coldplay w jednym utworze potrafi zawrzeć tyle pomysłów, że innym zespołom wystarczyłoby ich na całą płytę. Jest gęsto. Dzięki temu przyjemność

z odkrywania *Mylo...* można sobie przedłużyć o każde kolejne przesłuchanie płyty. Lecz z drugiej strony, te melodie, te refreny, te tanie chwytaki wokalne... Ta banalność, niestety, trochę zraża. Mogą się panowie rękoma, nogami i instrumentami zapierać, że nic im do **U2**. Aranże, patenty, harmonie, skromne solówki, brzmienie są momentami takie, że bez wstydu mogłyby się znaleźć na *How To Dismantle An Atomic Bomb* czy *No Line On Horizon* Irlandczyków.

W wywiadach lider Coldplay twierdzi, że inspirował się m.in. filmem **Droga**. Nie wiem, na czym ta inspiracja miała polegać. Znam i film, i książkę. To ponura, postapokaliptyczna historia. Raczej mało w niej nadziei, bo jak odnaleźć nadzieję, kiedy ludzie z głodu zjadają innych ludzi? A przy piosenkach z *Mylo...* chce się ponuć, pośpiewać, a może nawet potaćzyć – co kto umie. Jest ładnie.

Stawiam, że **Paradise** będzie, jeśli już nie jest, koncertowym hitem. Cały stadion w odpowiednim momencie zaśpiewa „ooooo ooooo ooooo!”. Pojawiający się w **Up with The Birds** cytat z Leonarda Cohena to ukłon w stronę bardziej intelektualnej publiczności, ale już duet (**Princess Of China**) z Rihanną to... kuriozum? Gdzież tam. To nic niezwykłego,



Coldplay
MYLO XYLOTO